



**You have downloaded a document from
RE-BUŚ
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Wojowniczk, czarodziejki i kochanki : pamięci więdźmy Saymoore

Author: Krzysztof Uniłowski

Citation style: Uniłowski Krzysztof. (2003). Wojowniczk, czarodziejki i kochanki : pamięci więdźmy Saymoore. "Opcje" nr 3 (2003), s. 20-28

© Korzystanie z tego materiału jest możliwe zgodnie z właściwymi przepisami o dozwolonym użytku lub o innych wyjątkach przewidzianych w przepisach prawa, a korzystanie w szerszym zakresie wymaga uzyskania zgody uprawnionego.



UNIWERSYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

KRZYSZTOF UNIŁOWSKI

Wojowniczk czarodziejki i kochanki

pamięci więdmy Saymoore

1.

Na forum internetowym z udziałem autora powieści fantasy, Feliksa W. Kresa, pewien czytelnik, który na tę okazję kazał się nazywać Red Baron, najpierw zdawkowo skomplementował pisarza, a potem narzekał aż miło:

„Czy Pan zdaje sobie sprawę z tego, że jest jeszcze większym feministą od samych wściekłych feministek? Kobiety w Pana książkach są zazwyczaj albo wściekle piękne albo wściekle mądre albo wściekle mordercze — a zazwyczaj wszystko to naraz. Mężczyźni to nader często tylko tępe narzędzia w rękach tych wspańiałych ‘och ach’ kobiet, które ganiają po górach, szlachtując kogo się da na lewo i prawo, kastrując i robiąc 1000 innych bezceństw”.

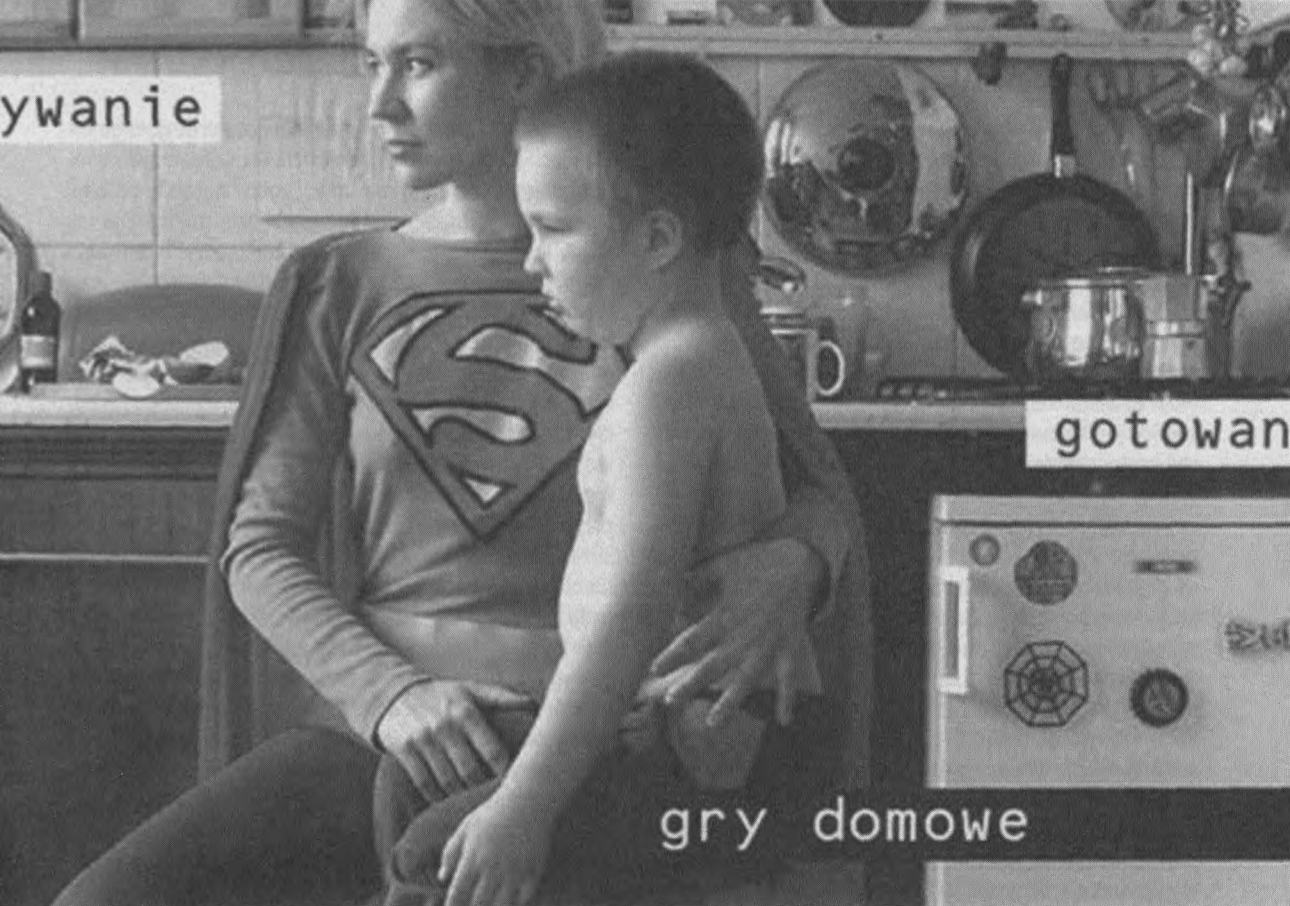
Pisarz zrobił dobrą minę do złej gry i począł tłumaczyć, że owszem, że może, ale po prawdzie to w jego powieściach nie ma żadnych niezwykłych wojowniczek, jako dowódczynie panie pojawiają się z rzadka, a jeśli — to przecież nie odnoszą samych tylko zwycięstw, zaś z urodą bywa rozmaicie. Czy Red Baron został przekonany, trudno odgadnąć. W powieściach Kresa kobiety rzeczywiście przeważają wśród pierwszoplanowych bohaterów, a przy tym — rzecz najważniejsza — występują niemal bez wyjątku w rolach zwyczajowo uznawanych za męskie.

Przyznam, że Red Baron zbił mnie z pantafelku. O ile bowiem proza Kresa — z Terezą, Ridaretą, Karenirą, Agatrą, Ezeną, Anessą, Armą oraz innymi paniami — wydawała mi się kontrowersyjna, jeśli chodzi o ukazywanie relacji między płciami i wcale nie uważałem za niemożliwy

przytyk do autorskiego szowinizmu, to zawsze myślałem o szowinizmie męskim, nie kobiecym. Zdaje się, że podobne wrażenia wyniósł z lektury Jacek Dukaj, skoro w recenzji *Grombelardzkiej legendy* (2000) dla „Nowej Fantastyki” napomknął o mizoginistycznych stereotypach, szczerze rozrzuconych po powieści Kresa.

Wiadomo jednak, że pisarze sf mają swoje porachunki z pisarzami fantasy, można tedy powątpiewać w rzetelność Dukajowego świadectwa. Trudno, trzeba będzie sprawę rozpatrzyć na własny rachunek. Na początek przyznam, że istnieją powody, dla których lubię powieści Feliksa W. Kresa. Po pierwsze, Kres nie mruga oczkiem do czytelnika, nie kręci ogonkiem stylu. Obywa się bez wycieczek satyrycznych, bez aluzji literackich oraz żartów z historii, bez parodystycznych odwołań do kanonu gatunku, bez tych wszystkich modernizujących konwencji zabiegów. Piszę za to — prawda, że nie piórem, ale młotkiem — obszerne, utrzymane w śmiertelnie poważnym tonie powieści, których wymowa jest równie mroczna i ponura co jesienna noc w grombelardzkich górach. A zważywszy, że poetyka fantasy nie stwarza wielkich możliwości kombinatorycznych, produkowanie nowych książek, które nie byłyby powtórką z dziesięciu innych i dla których czytelnik chętnie zarwie noc, to spore osiągnięcie. Po drugie, Kres nie ukrywa, że pisze literaturę rozrywkową. Obce są mu ambicje „Asa” Sapkowskiego, który ostatnio coraz chętniej stroi się w kostium polskiego Eco. Po trzecie (i w związku z dru-





Elżbieta Jabłońska *Gry domowe*, billboard. Galeria Zewnętrzna AMS 2002. Fot. archiwum galerii

gim), podczas gdy Sapkowskiego pokochała cała Polska (a najbardziej „Gazeta Wyborcza”), to Kres pozostał pisarzem klubowym, mało znanym poza gronem wielbicieli literatury fantasy. I tak już chyba będzie. Ale właśnie dlatego, że nazwiskiem autora *Wiedźmina* zwykli wycierać sobie gęby profani, Kres okazał się bliższy wielu zagorzałym wielbicielom fantasy. Snobizm? Pewnie tak. Sam nie mam prawa liczyć się między zagorzałych, znając wszakże uroki snobizmu, chyłę czoła przed snobizmem innych.

Jednak z kobietami u Kresa prawdziwy kłopot. Wygląda to tak: okoliczności historyczne sprawiły, że panie odegrały szczególną rolę w dziejach Armektu, jednej z krain Szereru. Armekt z czasem narzucił swoje zwierzchnictwo sąsiadom i wymusił między innymi formalne (bo wcale nie faktyczne) równouprawnienie. Pozycja kobiet była więc zróżnicowana w zależności od prowincji Wiecznego Cesarstwa oraz ich pozycji społecznej. Panie mogły zajmować wysokie stanowiska w służbie imperialnej, również w armii, i tym tłumaczy się obecność w powieściach Kresa wojowniczek, żołnierek, dowódczyń. Z tym tylko, że w wojsku było ich zdecydowanie mniej niż mężczyzn, że

niemal bez wyjątku były rodowitymi Armektankami i że z reguły kierowano je do lżejszych formacji (łucznicy). Jeśli przyrzeć się dokładnie, to się okaże, że równouprawnienie w świecie Kresa oznaczało przyznanie kobietom tylko tyłu i tylko takich praw, jakie zechcieli im przyznać mężczyźni. I jeśli Armektańcy okazali się pod tym względem łaskawsi od Europejczyków, to nie tylko dlatego, że historia i tradycja zobowiązują. Równouprawnienie miało wyraźny podtekst polityczny: było oznaką dominacji Armektu. Na potrzeby swoich instytucji Cesarstwo rekrutowało funkcjonariuszy bez względu na płeć oraz status społeczny czy majątkowy kandydatów (rzecz jasna, z wyłączeniem niewolników). A powstałe w ten sposób więzy lojalności wobec państwa w sytuacji próby niejeden raz okazały się silniejsze od tych, które wynikały z dziedzictwa krwi.

Tak czy owak, kobiety z Szereru nie musiały kontentować się rolą matek, żon i kochanek. Nawet przed tymi, które pochodziły z ubogich rodzin, służba w administracji czy armii otwierała drogę do kariery. Bywało, że to raczej ich mężowie usuwali się w cień i poświęcali zarządzaniu domem, aby dynamicznym małżonkom dać okazję do rozwinięcia skrzydeł. Nie oznacza to jednak, że w rywalizacji z mężczyznami kobiety miały takie same szanse. Oznacza tylko, że mogły z mężczyznami konkurować.

Równouprawnienie równouprawnieniem, ale Rawat, utalentowany oficer jazdy, co ciekawe — Armektańczyk, i tak

KRZYSZTOF UNIŁOWSKI — krytyczek i badacz literatury, ostatnio opublikował tom szkiców o najnowszej prozie i krytyce literackiej *Koloniści i koczownicy* (Kraków 2002). Mieszka w Katowicach.

„nie lubił kobiet w legii. Chociaż były z reguły znakomitymi łucznikami — bo tylko takie przyjmowano do wojska (...), ale jednak niechętnie widział kobiety w bitwie. W stancy to co innego. Pewna ilość żołnerek, nie broniących zbyt gorliwie niewinności, była niewątpliwie potrzebna” (*Północna granica*, 1995). Frustracje Rawata brały się stąd, że na jego zastępcę wyznaczono akurat kobietę, Terezę — równie zdolnego oficera kawalerii (kawalerii!), może odrobinę mniej błyskotliwego. Ale frustracje nie były obce również Terezie: Rawat był zastępcą komendanta stancy, a jako kawalerzysta miał jazdę pod bezpośrednim zwierzchnictwem, tym samym rola Terezy — nominalnego dowódcy konnych — była mocno ograniczona. Między obojgiem oficerów toczyła się nie zawsze ukryta rywalizacja. Zwycięsko wyszła z niej Tereza, ale tylko dlatego, że Rawat porzucił swoje obowiązki, powodowany mrzonką o porozumieniu między ludźmi a napierającymi zza północnej granicy obcymi stworzeniami.

Na poparcie swojej opinii o roli kobiet w armii Rawat mógłby przywołać choćby epizod z ekspozycji trzeciego tomu Kresowego cyklu. Oto Karenira, przyszła łowczyni, o której miano układać pieśni, przybyła do Grombelardu na czele dziesiątki łuczniczek, by szkolić żołnierzy z tamtejszych garnizonów. „Wydumano zapewne, że kobiety — prawie całkiem nieobecne w Legii Grombelardzkiej — zawstydzą miejscowych wojaków i skłonią do zacieklej rywalizacji. I faktycznie, dwie już zaczęły tyć” (*Grombelardzka legenda*). Nieudana misja oznaczała właściwie kres wojskowej kariery dziesiętniczki i jedynie spłot wydarzeń zmienił niefortunną podoficer w legendę gór.

Cóż, muszę otwarcie powiedzieć, że do armii Wiecznego Cesarstwa werbowano kobiety również z tą myślą, by zmniejszyć... napięcie seksualne wśród wojaków, choć — mimo szczerzego żalu Rawata — nie tylko do tego sprostawała się rola żołnerek. Seks nie należał może do ich

obowiązków służbowych, wszelako gotowość do tego rodzaju świadczeń była mile widziana. Co robić, równouprawnienie niejedno ma imię: „zgłaszająca się do legii dziewczyna musiała wiedzieć, że będzie traktowana jak każdy inny żołnierz, nie dostanie mniej jedzenia niż mężczyzna, ale też nie będzie więcej wody do mycia — słowem: nie czekają jej ani specjalne przywileje, ani dodatkowe obowiązki. To, że przy naborze raczej nieprzychylnym okiem spoglądano na mężatki i dziewice, było sprawą drugą” (*Północna granica*). Kobieta przyswajająca sobie żołnierskie obowiązki w praktyce musiała się dostosować do norm męskich, bo przecież przez mężczyzn i dla mężczyzn ustanowionych. Musiała się nauczyć czerpania przyjemności z kawalerskich rozrywek, musiała przyswoić sobie koszarowy dowcip oraz męskie maniery. W Armiecie kobiety wcale nie zmieniły armii, to armia zmieniła kobiety w kogoś na kształt wyrośniętych i przerośniętych kumpeli z podwórka, co to na drzewo wlezą, w bała zagrają, fajkę zakurzą, a i przed obmacywankami wzbraniać się nie będą...

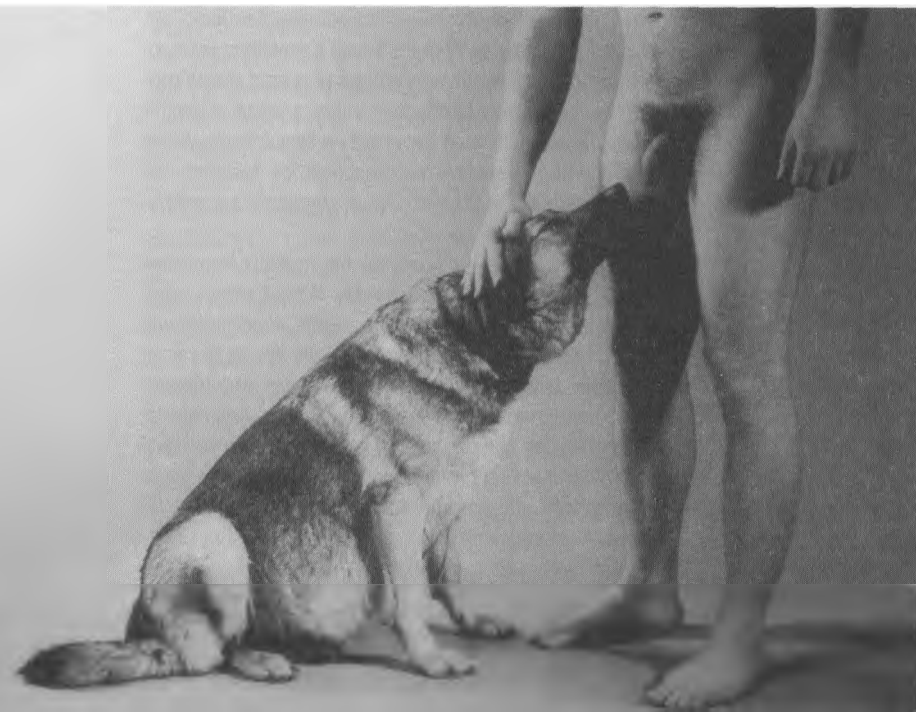
Aby odnieść sukces, trzeba było nie tylko wyraźnie pobić mężczyzn na ich polu. Trzeba nadto niezwyklej odporności psychicznej, siły woli oraz determinacji. Tereza, którą w *Północnej granicy* poznaliśmy jako oficera jazdy, w *Pani Dobrego Znaku* (2001) występuje jako komendant wojskowy okręgu Akali, która zdemoralizowane wojsko umiała zamienić w najwartościowszą bojowo część armii cesarskiej. Po wybuchu powstania w Dartanie jej żołnierze mieli prowadzić działania osłonowe i dywersyjne, tymczasem spadło na nich główne uderzenie rebeliantów. Dzięki zręcznej taktyce Tereza rozbiła w puch jeden z korpusów dartańskich, ale ostatecznie musiała ulec przewadze. Scena jej śmierci, kiedy to, chcąc osłonić transport z rannymi, poprowadziła resztki jazdy do beznadziejnego kontrnatarcia, zasługuje na przytoczenie:

„No to... przekleć gamonie... — powiedziała ledwie zrozumiale, że łzami w gardle. — Stępa, klusem... marsz...

Rozpląkała się — już wcale nie ze śmiechu — i poprowadziła.

Kilkunastu półżywych ludzi poszło na spotkanie Ahe Vana-deyone na grzbietach swych wiernych koni-legionistów — towarzyszy broni samorzutnie równających szyk.

Niedługo potem jeden z dowodzących rycerzy pytał ranne go w brzuch, leżącego na wozie legionistę, kto poprowadził



kontrszarzę po łące. Żołnierz wiedział, lecz nie mógł donieść wrogowi o śmierci dowódczyni Armii Wschodniej. Więc powiedział:

— Nasza... podsetniczka.

— Kobieta?

— Tak, panie... Nasza podsetniczka”.

Prawda, że te nieszczęsne „wierne konie-legioniści — towarzysze broni” mogą przyprawić czytelnika o ból zębów, niemniej docenimy ukrytą pod patosem ironię. Tereza i jej podkomendni walczyli nie tyle w obronie kolegów, bo sprawa była przegrana, ile w obronie honoru, ale nagrodą okazała się bezmiennność. Zwycięzcy docenili męstwo zwyciężonych, ale nie przeszkodziło im to dorżnąć rannych. Cała zresztą kampania Terezy, choć świetnie przeprowadzona, przyniosła optakane skutki. Paradoksalnie, dowódcze talenty bohaterki nie były bez znaczenia, bo za ich sprawą armia Terezy dała się Dartańczykom na tyle mocno we znaki, że ci po zdobyciu Akali z zemsty obrócili miasto w stertę gruzów, a ludność wycieli do nogi.

Równouprawnienie podług Kresa to pomysł sprawdzający się doskonale z... męskiego punktu widzenia. Kobiety, których udziałem stał się „genderowy” awans, dzieliły zainteresowania i fascynacje przypisane kulturowo brzydszej płci. Pewnie dlatego Glorma, przywódcę górskich band i niekoronowanego króla Grombelardu, „największego wojownika Szereru”, tak bardzo fascynowała Karenira-łowczyni. Cóż, z Karenirą jak z Kaską — można było konie kraść. Ale także z Agatrą, Terezą, Armą... Zdarzało się, że któraś z nich stawiała do walki z mężczyzną. Różnie wtedy bywało. Dla przykładu, Raner poturbował Karenirę, ale w dużo poważniejszej próbie Arma — niegdyś szpieg Glorma, a później szefowa imperialnej bezpieki w Grombelardzie — zastawiła pułapkę i doprowadziła do śmierci Króla Gór. Jakikolwiek byłby rezultat, chodzi o zapasy miłe męskiemu sercu: „Každy musi walczyć własną bronią. Ty mieczem, ja podstępem, ona kłamstwem... Znaliśmy jej broń i nie doceniliśmy. Wygrała uczciwie, Glorm” (*Porzucone królestwo*, 2002). Bohaterowie zwykli grywać wyłącznie w takie gry, które uwielbiają duzi i mali chłopcy, choć dopuszcza się ewentualność, że uczestnicy zabawy będą się różnili pod względem anatomicznym. Bo też takie różnice bywają bardzo przyjemnym dodatkiem:

„Zdjęta kaftan:

— Chcesz?

Chciał.

Dała” (*Grombelardzka legenda*).

Jak widać, Karenira nie żywiła do Ranera żadnej urazy. W końcu on również wygrał w uczciwej walce...

2.

Bohaterki Andrzeja Sapkowskiego, zwłaszcza te z łoż czarodziejek, zrazu wydają się skrojone na zamówienie jeśli nie feministek, to przynajmniej redaktorek prasy kobiecej, lansujących współczesny typ kobiety wyzwolonej i kobiety sukcesu. Niezależne, władcze, wpływowe, kapry-

śne, inteligentne, a choćby nawet ich uroda odbiegała od kanonu, to i tak pozostają nieodparcie uwodzicielskie... Łatwo jednak zauważyć, jak mocno władza nimi resentyment i jak bardzo pozostają uzależnione od obiektu negacji, od wzorca osobowego i losu, przed którym uciekają. Mogły minąć stulecia, ale akurat pod tym względem nic się nie zmieniło. Nimue mówi to, co powiedziałyby niejedna z jej poprzedniczek:

„Moja najstarsza siostra miała czternaście [lat — przyp. K. U.]. I już była krzywa od garbienia się nad robotą. Bab-ska dola! Do tego przygotowywano u nas dziewczynki od małości! Garbić się! Wiecznie się garbić, garbić i giąć nad robotą, nad dzieckiem, pod ciężarem brzucha, który chłop ci przypawił, ledwoś zdążyła wydobrzeć po połogu...” (*Pani Jeziora*, 1999).

Aby uciec przed „babską dolą”, trzeba magicznych talentów. Koszmar jednak powraca jako lęk przed utratą cudownie zdobytej wolności, jako obawa przed dominacją w każdej, także urojonej, postaci. Udziałem czarodziejek staje się kompleks wyzwolenia. Manifestują swobodę nie dlatego, by odczuwały taką potrzebę, ale po to, by przed wszystkimi i same przed sobą dowieść własnej niezależności. Dlatego wyznanie i okazywanie miłości często będzie ponad ich siły. Nie chodzi bynajmniej o to, iżby były emocjonalnymi kalekami. Nie potrafią przyznać się do uczuć, gdyż uważają, że straciłyby (we własnych i cudzych oczach) zdobytą wielkim nakładem sił niezależność. Burzliwe dzieje związku Yennefer i Geralta nie były wyłącznie rezultatem zderzenia dwóch indywidualności. Jeśli zaś bohaterów połączyła Ciri i jeśli ostatecznie stworzyli coś na kształt symbolicznej rodziny, to Yennefer musiała za to zaptać i wybierać między łożą a bliskimi. Wybierać musiała zresztą nie tylko ona i jeśli cokolwiek było tu niezwykłego, to jedynie fakt, że Yennefer wybrała inaczej niż siostry z łoży.

Niepłodność czarodziejek (owszem, są wyjątki, ale przecież Visenna musiała porzucić swoje dziecko) posiada symboliczną wymowę. Jakkolwiek by było, bohaterki przekroczyły granice przyrodzonej (np. długowieczność, możliwość regeneracji ciała), ale również społecznej kondycji, wyzwoliły się z więzi, jakie na kobiety nakłada społeczeństwo. Nie podlegają zwykłym normom, które w stosunku do nich zostają zawieszane, dlatego bez żadnych konsekwencji mogą sobie pozwalać na ekscesy — również seksualne. Gdy przyjrzeć się tym scenom miłosnym wiedźmińskiego cyklu, w których uczestniczyły czarodziejki (a więc znakomitej ich większości), to okaże się, że sceny takie albo rozgrywały się w dość niezwykłym otoczeniu (gdzie uprawianie seksu graniczy z wyczynem), albo przynajmniej mogliśmy podziwiać prawdziwy popis inwencji i sprawności, uwieńczony niezawodnie całkowitym spełnieniem obojga kochanków.

Vilgefortz, który — choćby z tytułu opinii o postępującej feminizacji czarodziejkiej profesji — pozostaje znakomitym kandydatem na szczególną odmianę Męskiego Szo-

winistycznego Wieprza, mianowicie inteligentnego, zacho-
chanego w sobie i pozbawionego skrupułów fajdaka, w *Czasie pogardy* (1995) tłumaczył wiedźminowi, iż ma-
gik musi połączyć się i stopić z naturą w nierozdzielną
jedność. Zważywszy na to, kto mówił, stwierdzenie bar-
dzo ciekawe. Rzecz jasna, chodziło raczej o technikę po-
yskiwania mocy niż poważnie pojęty panteizm. Nazbyt wielu
egoistów wśród czarodziei i czarodziejek, nazbyt lekko trak-
towali oni (cudze) życie, by sądzić, iż rzeczywiście pozo-
stawali w głębokim związku z naturą. Jeśli — wedle Vil-
geforta — związek ten przypomina więź między kochan-
kami, to raczej z gatunku znajomości bez zobowiązań. Wymowne przy tym, że czarodziej zestawiał kobietę i na-
turę. Kobiecość byłaby zatem żywiołem czy energią, pod-
czas gdy męskość — ukierunkowującą ją wolą lub formą.

Nie należy się łapać na okrągłe słówka Vilgeforta. Ma-
gia byłaby bardziej gwałtem na naturze lub — w najlep-
szym razie — udawaniem, pozorowaniem głębokiego
związku, uwodzeniem natury. Ciekawe, że wśród czaro-
dziei zaczęły przeważać kobiety, a w dodatku tendencja
ta stale się nasilała. Za czasów Nimue panie dominowały
całkowicie i chętnie powoływały się na tradycję sławnej
łóży czarodziejek, jaka powstała w toku wojny Nilfgaardu
z północnymi królestwami. Do czarodziejek zatem należy
przyszłość, ale przecież i tak zostają one wykluczone z na-
tury, bowiem w jej porządku uczestniczy się — uwaga,
uwaga — przez oddanie i poświęcenie. Yennefer dowie-
działa się o tym w świątyni Wielkiej Matki, którą na wy-
spach Skellige nazywali Modron Frejją. Właśnie! Gdyby
szukać w cyklu Sapkowskiego bohaterek wcale nie tych
najbardziej zapadających w pamięć, ale za to jednoznacz-
nie pozytywnych, to należałoby mówić raczej o Nenneke,
kapłance Wielkiej Matki Melitele z Ellander, oraz jej wy-
chowanicach.

Do ciekawych wniosków prowadzi związek porządku
natury z porządkiem społecznym. Przeznaczeniem kobie-
ty jest rodzić i poświęcić się dla rodziny. Oczywiście, rozu-
miemy i sympatyzujemy z Milwą, łuczniczką z drużyny
wiedźmina, która mówi w zasadzie to samo co Nimue, tyle
że los, przed którym zbiegła, był jeszcze bardziej srogi, bo
to przecież czas wojenny, czas pogardy: „Uciekłam z do-
mu. Nie chciałam zamiatać chałupy i szorować podłogi.
I czekać, aż nadjadą, chałupę podpala, a mnie rozłożą na
tej podłodze i...” (*Chrzest ognia*, 1996). Rozumiemy i sym-
patyzujemy tym bardziej, że Milwa uciekała również przed
napastującym ją ojczymem. W jej wypadku łuk i talenty
tropicielki odegrały taką samą rolę jak zdolności magiczne
u przyszłych czarodziejek — pozwoliły ująć przed losem
pisanym kobiecie. Wszelako babski los podążył za nią.
Przypadła jej niechciana ciąża, którą ostatecznie łucz-
niczka — nie bez wpływu Geralta, nawet jeśli proszony
o radę wiedźmin zachował taktowne milczenie — zaak-
ceptowała, by jednak niebawem poronić. Ginąc w obro-
nie Ciri, Milwa wyrównała rachunki. Dołączyła przecież po-
to do wyprawy wiedźmina, aby obroną innego dziecka

zapłacić za śmierć własnego, bo płód zamierzała spędzić.
Nie ma co kryć, że wszystkie te ucieczki przed losem —
wszystko jedno, z łukiem w garści czy zaklęciem na ustach
— nie są wcale czymś, co waloryzowano by jednoznacz-
nie pozytywnie, nawet jeśli babska dola byłaby podobna
do sytuacji Ciri w rękach Bonharta, który — w relacji wie-
śniaka — „nie uczynił jej nic nadto, co zwykły chłop czyni
żonie w sobotę wieczorem, wracając z obozów — ot, zwy-
czajnie skopał, w papę strzelił kilka razy — i więcej nic”
(*Wieża Jaskółki*, 1997).

Zważywszy, że czarodzieje i czarodziejki sytuują się poza
społeczeństwem, reguła solidarności i bezwzględnej wier-
ności kapitulę (a później łoży powołanej przez panie) na-
biera szczególnego znaczenia. Zdaje się próbą stworzenia
namiastki więzi grupowych. Nawet manipulacje genetycz-
ne oraz hodowla ludzi (właściwie nadludzi) mogłyby zo-
stać uznane za namiastkę rodzicielstwa. A skoro tak, to
czarodziejki nie byłyby bez praw do Cirilli. Konflikt łoży
oraz Yennefer, prawem serca przypisującej sobie godność
przybranej matki, byłby zatem szczególnie dramatyczny
i nierozstrzygalny, bo tutaj nikt nie rezygnowałby z nicze-
go. Oczywiście, sympatie autora i czytelników pozostają
jednoznacznie określone. Wszak Geralt, Yennefer i Ciri to
„prawdziwa”, choć „zastępcza” rodzina, czego bohaterowie
dowodili gotowością do wzajemnych ofiar...

Przy okazji warto się zatrzymać nad autorską fikcją na
punkcie dziewictwa Ciri. Tarapaty, w jakie popadła dziew-
czyna, niejedną raz groziły jej utratą wianka. W krytycznej
chwili zawsze pojawiała się jednak albo kawaleria, albo
Deus ex machina. Po kolei: z rąk łapaczy Cirillę uratował
młodociany bandyta Kayleigh, który gotów był uprzyjem-
nić jej noc, ale przepędziła go kamratka, Mistle. Przepę-
dziła i... zastąpiła, na czym Ciri zyskała o tyle, że dziew-
czyńskie pieśczęty okazały się delikatniejsze. Na tyle zresz-
tą delikatne, iż hymen księżniczki w niczym nie ucierpiał.
Sterroryzowawszy dziewczynę, Bonhart, owszem, kazał się
jej rozdziewać, ale tylko po to, by sprawdzić, czy nie ukry-
ła gdzieś magicznych amuletów. Cóż, Bonhart to sadysta
i bardziej go kręciło upokarzanie i zadawanie bólu. Do
końca rzecz gotów był doprowadzić Hotsporn, przekon-
ując przy okazji dziewczynę, że mimo wszystko mężczyźni
robią to lepiej, ale przeszkodą nie do pokonania okazała
się rana postrzałowa. Elfy zażądały od Cirilli dziecka, a po-
cząć je miał ich król, Auberon Muircetach. Tyle że król był
wiekowy, miał kłopoty z potencją, a nadto nie potrafił się
wyzwolić z uprzedzeń rasowych. Kiedy zadał sobie coś na
męskość, jego serce tego nie przetrzymało... Pomijam już
inseminator, którym Ciri wygrażał Vilgeforsz, oraz zbirów
czarodzieja, proponujących swoje usługi w zakresie natu-
ralnych metod rozplodowych, ale trzeba dodać, że — z wy-
łączeniem ostatniej sytuacji — w każdym wypadku Ciri,
po wcześniejszych pyskówkach, wyrażała cichą zgodę,
a nawet współpracowała z niedoszłymi kochankami. Krew
nie woda, zwłaszcza Starsza Krew. I co? I nic! Trudno orzec,
czy dziewczyna miała ogromne szczęście, czy niewiary-



Dorota Nieznańska *Potencia*. Galeria Sektor I, GCK Katowice 2002. Fot. K. Zgola

godnego pecha. Wojna między Nilfgaardem a północnymi królestwami toczyła się między innymi o Cirillę. Podobnie konflikt Vilgefortza z wiernymi czarodziejami, a później łożą zjednoczonych pań. Ścisłej rzecz biorąc, chodziło nawet nie tyle o Cirillę, ile o to, z kim cyntryjska księżniczka zajdzie w ciążę. Jednak hymen i macica to niezupełnie to samo. Skąd u Sapkowskiego ta dziwaczna, wręcz śmieszna fetyszycja błony, nie umiem powiedzieć. Podejrzewam jedynie, że autor bawił się kosztem czytelników, którzy zakładają, że heroina powinna przejść więcej, hm, przógód niż Kunegunda z Wolterowskiego *Kandyda*, ale (formalne) dziewictwo musi zachować. Albo, strach pomyśleć, sam tak mniema...

Co tu mówić, Andrzej Sapkowski w pojedynkę stworzył wzorzec polskiej fantazy. Podbił czytelników nie tylko wartką fabułą i lekkością niestroniącej od ironii narracji, ale również inteligencją oraz poczuciem humoru. Skłonny byłbym jednak twierdzić, że o sukcesie pisarza zdecydowało przede wszystkim uznanie rodziny za niekwestionowaną i w zasadzie jedyną wartość w paskudnym i brutalnym świecie. Że chodziło o rodzinę symboliczną, to jedynie autorską tezę wyostrza. Taki wybór i taka decyzja w oczywisty sposób wpłynęły na wizerunek kobiecości w sadze o wiedźminie. Czarodziejki „ASa” okazują się zarazem fascynujące i monstrialne, potężne i ułomne. Jeśli naprawdę widzieć w nich figurę współczesnej kobiety wyzwolonej, to trzeba byłoby powiedzieć, że pisarz postrzega ją ambiwalentnie. Zaiste, udało się Sapkowskiemu zarejestrować obawy mężczyzn przed feminizującym się światem.

3.

U Kresa nie ma czarodziejek. Czarodziejów zresztą też nie, a w ogóle magii w Kresowym cyklu tyle, co kot (wiedźmy) napłakał. Owszem, jest Szerń, niezwykła, choć bezrozumna siła czuwająca nad światem Szereru, która obdarzy-

ła rozumem nie tylko ludzi, bo również koty i sępy. Są badający prawa Szerni mędrzy-przyjęci, którzy jednak przypominają raczej naukowców niż kapłanów lub czarodziejów. Co najbardziej zdumiewa, to brak potrzeb religijnych u bohaterów. Można zrozumieć, że mędrzy nie są skłonni do ubóstwienia Szerni. Ciekawe jednak, że nie czynią tego również pospolici mieszkańcy Szereru, dla których mądrości przyjętych są zdecydowanie za mądre. Pod kłosem Szerni bohaterowie wydają się odcięci od

metafizyki. Ich życie mija w gorączce politycznych i wojсковych rozgrywek albo w udręce walki o przetrwanie.

Istnieje jednak grupka postaci większego kalibru, które rzuciły wyzwanie absurdalnemu losowi. Są też — z drugiej strony — bohaterowie wybrani przez Szerń, trzy kobiety wyniesione na tron w mniej lub bardziej niezwykłych okolicznościach. Na Werenę jako swoją następczynię wskazał abdykujący cesarz, pomijając jej mniej uzdolnionych braci. Niewolnica Ezena wskrzesiła niepodległy Dartan. Ridareta z branki stała się księżniczką z pirackiego księstwa na Agarach. We trójkę są nowym wcieleniem zrodzonych z Szerni siostr, które przed wiekami dały początek cywilizacji Szereru. Czy Werenka, Ezena, Ridareta rozpoczną nowy cykl, czy też może ich rola będzie destrukcyjna, o tym rozstrzygnie ostatni tom sagi. Póki co, warto zwrócić uwagę na pewną prawidłowość. Wyzwanie losowi rzucają raczej mężczyźni. Przykładem Glorm albo Raladan, co prawda obdarzone niezwykłą mocą dziecię oceanu (Bezmiarów), ale przecież o formacie tej postaci decyduje raczej wierzność nieżyjącemu kapitanowi oraz jego córce Ridarecie, dla której stał się przybranym ojcem. Z paniami o tyle inaczej, że im niezwykłą rolę do odegrania wyznaczyła Szerń.

Szczególnie warto się przyjrzeć Ridarecie. Rzecz w tym, że naprawdę nie była ona w pełni kobietą, nie była też w pełni człowiekiem, a raczej kadawerem. Zamęczoną na torturach dziewczynę przywrócił do życia Rubin Córki Błyskawic, klejnot będący częścią Szerni. Czerpiąc z niego energię, z upływem lat Ridareta przeobrażała się w Riolatę (nazwa rubinu), ożywiony przedmiot. Energii tej było przy tym tak wiele, że jej erupcjom — zwłaszcza w chwilach emocjonalnego napięcia — towarzyszyły napady sza-leństwa i okrucieństwa. Gwałt często kierował się przeciwko samej dziewczynie, która dotkliwie się kaleczyła, gdy Riolata czerpała rozkosz z cierpień Ridi. Inna rzecz, że obrażenia znikają niemal natychmiast. Siły klejnotu były tak

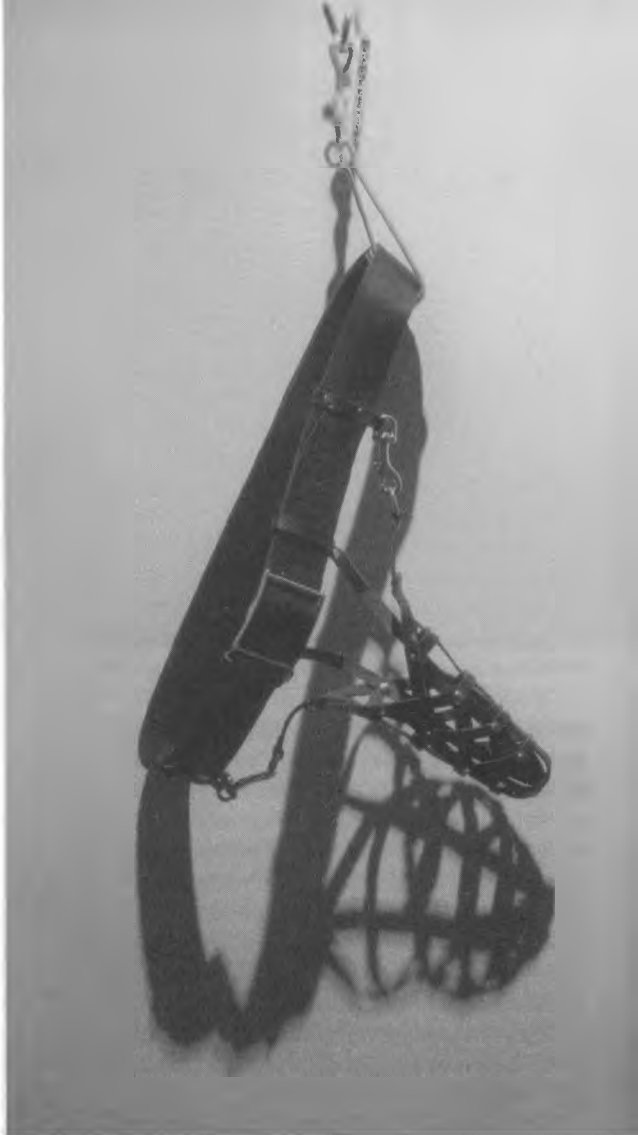
wielkie, że ciało Ridarety rychło się regenerowało, a ona sama — choć jednooka — promieniowała wyzywającą urodą.

Łatwo odgadnąć, że za sprawą rubinu dziewczyna została obdarzona również ponadprzeciętnym apetytem seksualnym. Co więcej, w chwilach spełnienia potrafiła być śmiertelnie niebezpieczna dla partnera. Jej pierwszy kochanek (pomijam gwałt, jaki zadał jej opętany rubinem i nierozpoznający córki ojciec) po prostu spłonął, a przecież w *Królu Bezmiarów* (1992) dziewczyna potrafiła jeszcze zachować nad sobą większą kontrolę. W czasie, gdy rozgrywa się akcja *Porzuconego królestwa*, „ulubioną jej rozrywką było zachodzenie w ciążę z kim popadło; wiecznie łaziła z brzuchem i każdorazowo, ku swej ucieście, poroniła, żłowiąc straszne napary z ziół (...)”.

Seksualne i zbrodnicze ekscesy Ridarety nasilały się zwłaszcza wtedy, gdy dziewczyna czyniła użytek ze swoich mocy. Morderstwo dawało jej (właściwie dawało Rioliacie) satysfakcję porównywalną ze spełnieniem erotycznym. Kiedy uwalniała się z cesarskiego więzienia, wybijając drzwi uderzeniem pięści, wzniciając pożar strumieniem energii, kalecząc i mordując ludzi, sama wymęczona, brudna i poraniona, najpierw w amoku dokonała samogwałtu, by chwilę później torturować ciężko poparzoną Arme i poderżnąć gardło jej przyjaciółce Tewenie.

Ridareta wydaje się postacią stosunkowo najbliższą czarodziejek Sapkowskiego. Ale wyraźniejsze i ważniejsze jest inne pokrewieństwo. Bohaterka *Króla Bezmiarów* oraz *Porzuconego królestwa* reprezentuje przykrojony do potrzeb fantazy typ modliszki. Prawda, że odczucia czytelnika nie muszą wcale odbiegać od tych, jakie dla podopiecznej ma Raladan: „Ale kochał ją taką, jaka była. (...) Wspaniała, trochę dziką, najurodziwszą dziewczynę świata, zuchwałą, nie bojącą się nikogo i niczego. Nie przeszkadzały mu nawet jej wybryki” (*Porzucone królestwo*). Tyle tylko, że Raladan traktuje Ridi jak ojciec. Wszyscy inni mężczyźni muszą pamiętać, że za klepnięcie nie w porę w najkrągłszy tyłeczek na świecie płaci się nie policzkiem i nie obsobaczeniem, ale prostym podbródkowym, który zamienia głowę w poszatkowany arbuz...

Oczywiście, nie tylko sama Ridi, ale cała rodzina książęca z Agarów sprawia osobliwe wrażenie. Może to sprawka bujnych i barwnych życiorysów. Książę Raladan był niegdyś piratem, a jego małżonka Alida — zresztą szczerze nieznosząca Ridi — luksusową dziwką i podwójnym agentem. Książęce tytuły nie zmieniły ich manier. Raladan i Alida byli sobie bardzo oddani, ale może właśnie dlatego, że pewni swoich uczuć, dość swobodnie traktowali rygory nakładane przez powinność małżeńskiej wierności. Nie mogąc doczekać się powrotu męża z wyprawy, Alida — zresztą bardzo o Raladana zatroskana — zagieła parol na Glorma. Ten odmówił, bo przecież „są rzeczy, który mężczyzna nie robi przyjacielowi.



Dorota Nieznańska *Potencja*. Galeria Sektor I, GCK Katowice 2002.
Fot. K. Zgola

— Nawet jeśli ten przyjaciel pozwala?

— Nic mnie nie obchodzą wasze dziwaczne obyczaje małżeńskie — uciął” (*Porzucone królestwo*).

Aż się prosi, by zestawić tę scenę z sytuacją, gdy u Sapkowskiego Triss Merigold, zresztą korzystając z pomocy magii, uwiodła Geralta. Najwyraźniej podług pisarzy fantazy przyjaźń męska i kobieca różnią się od siebie. Mizoginistyczny stereotyp? Czy może raczej jest tak, jak twierdzi znawczyni tematu kobiecego u „Asa” Aleksandra „Trisska” Zielińska, że Sapkowski „jako jeden z nielicznych mężczyzn dostrzegł, zrozumiał i opisał frapujący problem przyjaźni między kobietami. Mianowicie: nie szkodzi, że usiłujesz mi odbić faceta czy wręcz sypiasz z nim bardziej lub mniej ukradkiem, nie szkodzi, że najchętniej powyrywałabym ci te rude kłaki z głowy i że tak właściwie to wcale cię nie lubię — jesteś moją przyjaciółką, wara od nas wszystkim samcom, oni i tak nie rozumieją głębokiego i altruistycznego uczucia, jakie nas łączy?” Przyjaźń kobieca byłaby

zatem wyższą, rozwiniętą formą w stosunku do przyjaźni męskiej, uczucia wątpliwej i małostkowej, które może zniewieczać nawet taki drobiazg, jak skorzystanie z okazji i przespanie się ze — skądinąd chętną — kobietą przyjaciela. Być może tak właśnie jest. Kwestię pozwól sobie zostawić otwartą...

4.

W przestawnym felietonie *Piróg albo nie ma złota w Szarych Górach*, w którym Andrzej Sapkowski raczył się odciąć od rozmaitych, ale mało udatnych prób zafundowania nam prawdziwie słowiańskich opowieści spod znaku magii i miecza, autor *Wiedźmina* wspominał również o dominującej dziś w krajach anglosaskich fantazy feministycznej. Felieton „ASa” żył swoim — i to burzliwym — życiem. Na pewno napsuł sporo krwi sprostowanym pisarzom, ale też skłonny byłbym zaryzykować twierdzenie, że odegrał ważną rolę edukacyjną, jeśli chodzi o wiedzę o gatunku wśród czytelników. Na marginesie, niedawno do felietonu Sapkowskiego nawiązał Maciej Guzek w opowiadaniu *Złoto Gór Szarych* (w antologii *Młode wilki polskiej fantastyki*, 2003), przekornie mieszając ze sobą wątki typowe dla fantazy ze stereotypami westernowymi. Jedną z bohaterek utworu okazała się wiedźma Saymoore, najsylniejsza medicine woman na świecie, której i ja pokłoniłem się dedykacją. Aha, tytuł opowiadania Guzka pije również do trylogii indiańskiej Krystyny i Alfreda Szklarskich, zatytułowanej *Złoto Gór Czarnych*. I kto jeszcze śmie twierdzić, że nawiązania międzytekstowe są właściwe wyłącznie literaturze o ambicjach wysokoartystycznych?

Wracam jednak do idei fantazy feministycznej. Jej tekstowe materializacje Sapkowski — oczywiście w karykaturalnym trybie — przedstawiał tak: „W opowieściach fantazy feministycznej kobiety wyłamują się z conanowsko-gorowskiego schematu. Same potrafią wałnąć nachałką mieczem lub zaklęciem, a jeśli nawet ktoś je zgwałci, to biada mu. Zapłaci za to drogo, najpóźniej w piątym tomie sagi. Niektóre autorki doszły tu już do pewnej przesady. Bohaterki cyklu *Vows and Honor* Mercedes Lackey, wojowniczkę Tarmę i czarodziejkę Kethry gwałci się na okrągło, często-gęsto zbiorowo, a one otrząsają się i mszczą. Parę stron o niczym i da capo. Kilka dalszych stron i mamy Tarmę i Kethry siedzące przy ognisku i opowiadające o dawnych gwałtach. Banalny opis przyrody i mamy trzecią, całkiem przypadkowo zgwałconą kobietę i Tarmę z Kethry, mszczące się przez solidarność”.

A u nas? Jak feministyczna fantazy miewa się nad Wisłą? Hm, nijak się miewa. Po prostu, szukałem i nie znalazłem, choć mozem źle szukać. Elementy tak złośliwie opisanego przez „ASa” schematu dałoby się uchwycić w powieści Iwony Surmik *Talizman złotego smoka* (2002). Także w *Achai* (2002) Andrzeja Ziemiańskiego. I tyle. W dodatku byłoby grubym nadużyciem skojarzenie wymienionych książek oraz autorów z feminizmem. Analogie fabularne są efektem wykorzystania tego samego schematu

historii skrzywdzonej królowny, którą nieprzyjaciele pozbawili wszystkiego, co należało się jej z tytułu urodzenia, i teraz dziewczę najpierw musi przejść przez trudną szkołę przetrwania, poznać prawdę o sobie i swoje przeznaczenie, a na koniec — odkuć się i dać srogiego łupnia dawnym prześladowcom. Najpóźniej w piątym tomie sagi. Widać wyraźnie, że wykorzystana matryca została wzięta z baśni o Królownie Śnieżce, którą odpowiednio zmodernizowano, mniej więcej tak, jak sam Sapkowski uczynił przy okazji historii Renfri. Surmik i Ziemiański opowiadają w istocie o poszukiwaniu prawdziwego „ja”. A że ich bohaterkami są dziewczyny? Tak po prostu barwniej i ciekawiej. Z feminizmem nie ma to wiele wspólnego.

W naszym kraju za pisarstwo kobiece uchodzi coś diametralnie innego. Podpisujący się pseudonimem Crocodile recenzent internetowego pisma „Valkiria Network” uznał Ewy Białoleckiej *Kamień na szczycie* (2002) za „ciekawą powieść, bardzo kobiecą i prawdziwą”. Co to naprawdę znaczy, wyjaśnia pokrótce polonistka Anika Radzka, która pisarstwo Białoleckiej klasyfikuje jako „bardzo ciepłe, wręcz mamusine (w pozytywnym tego słowa znaczeniu)”. Sam obie powieści pani Ewy, bo także tę wcześniejszą, *Tkacza iluzji* (1997), miałbym za przykład literatury adresowanej raczej do czytelnika w wieku wczesnomłodzieżowym. Nie ma tutaj żadnych konfliktów poza takimi, które mógłby świetnie zrozumieć grzeczny i dobrze ułożony nastolatek. Mamy więc kryzys przyjaźni, kiedy między zgranych kumpi wkracza pierwsza miłość, mamy generacyjny konflikt między starymi i młodymi magami itd. Główny bohater to po prostu typowy prymus, troszkę niecierpliwy, ale zbyt szczerzy, pełen życzliwości, dobrych chęci. Potrafi zrozumieć „cud pojawienia się nowego życia” i wzruszyć się nad smoczym jajem tak bardzo, że wzruszeni będą nie tylko mama i tata smoczątka, ale również czytelnicy. Oto jest rodzima proza kobieca! Drżycie teoretyczki écriture féminine!

Akcenty feministyczne można by znaleźć — choć także tutaj nie pojawiają się one programowo — w zbiorze opowiadań Anny Brzezińskiej, zatytułowanym *Opowieści z Wilżyńskiej Doliny* (2002). Główną postacią tego cyklu jest wiedźma zwana Babunią Jagódką. Opowiadania powstały przez kilka lat i widać wyraźnie, jak ewoluowała koncepcja autorki. Zbiór rozpoczynają humoreski, w których pisarka bawi się odwracaniem klasycznych motywów baśniowych. Potem pojawiają się satyryczne wycieczki — Babunia musi sobie poradzić z podwójną moralnością wieśniaków, musi też utemperować zapędy nie tyle księdza plebana, co jego zwierzchników, wysyłających do wsi kolejnych kleryków natchnionych misjonarskim duchem. Cóż, tak już się dzieje w literaturze fantazy, że największym zagrożeniem dla wiedźm i czarownic bywają kapłani, którym marzy się wiedźmobicie, co w polskich warunkach stwarza niezłą okazję do żartów i przytyków pod adresem Kościoła. Księża, klerycy i opaci Jałmużnika, Cion Cerena od Kostura, w zasadzie niczym nie odbiegają od satyrycznych przedstawień ich katolickich kolegów, jakich sporo

w literaturze. Pleban przywykł do lenistwa i wygod wiejskiego życia, więc ani mu w głowie kłopoty, cóż kiedy pazerny opat Ciecierka rad by się wykazać polowaniem na czarownice przed zwierchnością. Klerycy z kolei są żarliwi, głupi i zafiksowani na punkcie płci przeciwnej. Babunia Jagódka radzi sobie z nimi wszystkimi bez większego trudu. Podobnie jak z władką (uzależnionym od zieleń na sprawność miłosną), o wieśniakach i wieśniaczkach nie wspominając. Satyryczne wątki książki zbliżają ją do tej odmiany fantastyki, za której mistrza uważa się dziś Andrzej Pilipiuk, a której wzorów dostarczyli w istocie pisarze rosyjscy, by wspomnieć choćby Kira Bułyczowa z jego cyklem opowieści o mieszkańcach prowincjonalnego Wielkiego Guślaru.

Mniej więcej w połowie książki Brzezińska postanowiła wpisać ją w swoje główne przedsięwzięcie epickie, czyniąc z *Opowieści...* boczną odnogę sagi, jaką na razie tworzą dwa inne tomy — *Zbójceki gościniec* (1999) i *Żmijowa harfa* (2000). Do Wilżyńskiej Doliny dotarły echa wielkich wojen. Zbójce i dezterterzy kilkakrotnie zniszczyli osadę i trzeba było interwencji Babuni, aby odbudować wioskę, a wymordowanych chłopów zastąpić przymuszonymi zakłeciem... grasantami. Ba, sama Babunia okazała się ukrytą w roli wiedźmy boginką, córką Kii Krindara od Ognia, opiekuna Żmijowych Gór, który przekazał jej swą dziedzicę. Po prawdzie, to rozmaicie z tym zastępstwem bywało. Babunię Jagódkę jakieś inne obowiązki potrafiły pochłoniąć tak dalece, że mogła nie dopilnować spraw w Dolinie. A jeszcze częściej pochłaniały ją przyjemności, bo wiedź-

ma chętnie korzystała z zakłęcia „młoda-i-piękna”, bałamucąc mężczyzn z bliższej i dalszej okolicy...

Feministyczne akcenty pojawiają się w książce za sprawą żartobliwego odwrócenia optyki. Wszystko, co się dzieje i co przychodzi z wielkiego świata, zostało ukazane nie tylko z perspektywy małej, zagubionej w górach wioski, ale wręcz z perspektywy „babskiej”, niekiedy wyraźnie przeciwstawianej męskiemu punktowi widzenia. A z „babskiej” perspektywy polityka, spiski, koalicje i wojny zakrawają na głupie i niebezpieczne awantury. Szukając wśród górskich książątek męża dla wioskowej piękności Jarosławny, Babunia widziała sprawy tak: „Na razie kończyło się na wzajemnym podjudzaniu (...), ale tak czy inaczej, wojenne plany książąt nie podobały się Babuni Jagódcie. Zrobi taki dziewczynie bachora, rozmyślała, a potem szukał wiatru w polu. Albo się zaciągnie. Będzie się przez parę lat po okolicy włóczyć i łajdaczyć, z kim popadnie, albo go gdzie pośpiesznie ubiją, a przecie do tego nawet dobrej bitwy nie trzeba, starczy jeden celniej rzucony kamień. I znowu mi będzie siedzieć, idiotka, w obejściu i ryczeć...”

Babunia zresztą nie miała nic przeciwko wojaczce i wojakom, lubiła zaszaleć tak pod postacią młódki, jak i starowinki, ale miała bardzo wiele przeciwko temu, by wojna zaglądała w jej dziedzicę. Zmiana optyki z heroicznej na „babską” czyni z *Opowieści...* po trosze parodię nurtu, pozostającą do właściwej fantasty (w tym obu wcześniejszych powieści Brzezińskiej) mniej więcej w takim stosunku jak sowizdrzalskie *Albertusy* do epiki rycerskiej. Można oczywiście powiedzieć, że w opowiadaniach Brzezińskiej do głosu dochodzi nie tyle babski, co po prostu plebejski rozsądek. Można by również się upierać, że zdrowy rozsądek nie zna podziału na płęć, ale nie ulega wątpliwości, że wioska w Wilżyńskiej Dolinie przetrwała wszelkie zawieruchy dzięki opiece wiedźmy będącej jej prawdziwą panią.

W odniesieniu do książki Anny Brzezińskiej nie odważyłem się użyć innego określenia jak „feministyczne akcenty”. Cóż, feministycznej fantasty z prawdziwego — wojowniczego — zdarzenia jak nie było, tak nie ma. I właściwie nie ma również powodu, aby czynić z tego sprawę. Mowa wszak o literackiej komercji, o powieściach i opowiadaniach, które muszą się liczyć z upodobaniami czytelników, zostawiających pieniądze w kasach księgarń. Skoro czegoś nie ma, to — widać — nie ma wielu chętnych do czytania i kupowania tego czegoś. Najwyraźniej czarodziejki rodzimej literatury fantasty, jak dotąd, nie założyły własnej łoży. Ale ponieważ — co przepowiadał Sapkowski — przyszłość należy do czarodziejek, co się odwlecze...

